



Kłopoty Ture Sventona

Długa i wąska ulica Królowej leży mniej więcej w centrum Sztokholmu. Ruch na niej nieustanny. Zrozumiałe, że jest to najbardziej odpowiednie miejsce na biuro prywatnego detektywa — tam jest się naprawdę w samym sercu wszystkich spraw. Idąc ulicą Królowej w piękny letni dzień, nie zdziwisz się, ujrawszy na drzwiach domu napis:

T. SVENTON
Praktykujący Prywatny Detektyw

Ów Sventon był małym, chudym człowieczkiem o ostrym profilu. Zatroškany, siedział właśnie przy biurku i gładził w zamyśleniu czarną brodę. Długi, cienki nos upodabniał go do jastrzębia (o ile można sobie wyobrazić jastrzębia z brodą). Nie wyglądał na zadowolonego.

Cechowała go przecież bystrość i odwaga, chętnie podejmował nawet najbardziej niebezpieczne zadania i wcale niewykluczone, że był najsprytniejszym prywatnym detektywem w kraju. A jednak nigdy nie otrzymywał żadnych zleceń. Jeśli już ktoś zadzwonił do drzwi, prawie zawsze był to sprzedawca sznurowadeł, a prawie nigdy ktoś, kto by mu zlecił śledzenie jakiegoś podejrzanego osobnika czy też odnalezienie wartościowego naszyjnika z pereł, którego szukano od zeszłego piątku. Nikt więc nie mógł się nawet domyślać, jakim zdolnym detektywem był Sventon. Wiedział to tylko on sam.

Każdy człowiek posiada swoje drobne właściwości różniące go od innych. Sventon miał ich dwie. Po pierwsze, nie mógł wymówić Sture Svensson, tak jak się rzeczywiście nazywał. Wychodziło mu raczej Ture Sventon, więc koniec końców zmienił nazwisko i teraz naprawdę nazywa się Ture Sventon. Poza tym nie

mógł wymówić słowa ptyś — brzmiało jak psyś. A gdy chciał powiedzieć pistolet, mówił piftolet. Nie ma co ukrywać, Sventon nieco sepleniał.

Drugą dziwną właściwością było to, że zawsze wyglądał na bardzo zajętego, choć nigdy nic nie robił. Jeżeli czasem jakiś klient odwiedził go w biurze, odnosił wrażenie, że Sventon ugiął się pod ciężarem najbardziej niebezpiecznych zadań. Co chwila dzwonił telefon, a Sventon odpowiadał na przykład tak: „Halo! Dobrze, w porządku. Ale pamiętajcie! Piftoletu użyć tylko w razie konieczności. Nie zapominajcie o tym, chłopcy!” Albo też klient słyszał ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Sventon „... śledził go aż do Rio de Janeiro... współpracuje z policją brazylijską. Do widzenia”. To wszystko było bardzo dziwne. Gość nie mógł jednak wiedzieć, że Sventon mówił tylko ze swoją sekretarką, panną Jansson, która dzwoniła z drugiego pokoju. Miała ścisłe polecenie telefonowania, gdy tylko zjawiał się klient.

Biuro składało się z dwóch pokoi. Pierwszy od wejścia zajmowała panna Jansson. Była to starsza, siwiejąca pani w okularach, taka, na której można polegać. Teraz właśnie bardzo się jej śpieszyło. Szydełkowała łąpki do garnków, które miały być gotowe



na urodziny siostry. Więc zniecierpliwiała się trochę, słysząc telefon. Dzwonił ze swego pokoju jej szef, prywatny detektyw Ture Sventon.

— Panno Jansson, jak pani myśli, może byśmy tak zjedli po jednym psysiu? Niech pani będzie taka dobra i zadzwoni do Rozalii po dwa psysie!

Sventon ogromnie lubił ptysie. Gdy był szczęśliwy, miał ochotę na ptysia, żeby uczcić tę okoliczność; gdy czuł się przygnębiony, chciał ptysia na pociechę. Tylko w ciastkarni Rozalii można było dostać jak rok długi.

— Czy z bitą śmietaną? — spytała panna Jansson.

— Oczywiście! Jak najwięcej śmietany. Weźmiemy je na razie na kredyt.

Wkrótce pojawiły się ptysie od Rozalii, rzeczywiście wspaniałe; duże, w miarę rumiane, a śmietany było tyle, że aż kapała ze wszystkich stron. Takie właśnie ptysie są potrzebne, gdy się jest przygnębionym.

Ture Sventon, prywatny detektyw, zdjął brodę, włożył ją do szuflady i zabrał się do ptysia.

